

Wszystkie krakowskie cuda, i dużo więcej, „zobaczycie”, czytając  
fantastyczną, bez cudzysłowu, książkę Witka Beresia

ANDRZEJ GRABOWSKI

WITOLD BEREŚ

# ANIOŁY

— W —  
KRAKOWIE

OPOWIEŚĆ O MIŁOŚCI I PRZYJAŹNI

NA PODSTAWIE FILMÓW

*ANIOŁ W KRAKOWIE, ZAKOCHANY ANIOŁ,  
I PRAWDZIWE ŻYCIE ANIOŁÓW*



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

## 19.

Poirytowany staruszek właśnie wyciąga Giordana z wielkiej dziury. Jednak ani mało grzeczny sposób targania za włosy, ani naburmuszona twarz staruszka nie zmieniają radosno-głupawego wyrazu twarzy puchatego faceta, który rozgląda się wokół z przyjemnością, choć – jak łatwo zobaczyć – nie jest ten widok dla niego żadną nowością. I wita staruszka serdecznym, acz lekko bezczelnym uśmiechem:

– O, archanioł Rafael! Właśnie archanioła szukałem...

Staruszek, gderając, każdym gestem okazuje jednak swą niewiarę w te słowa.

– Aniele Giordano! Już ja wiem, gdzie cię znaleźć! Całymi dniami przesiadujesz w Czyścicu, ciemna maso, nie wiem po co? Twe występki muszą się skończyć jak najszybciej, inaczej nasz Pan sam wiesz, co uczynić może...

– Ależ proszę jegomościa archanioła Rafaela, ja właśnie archanioła szukałem...

Giordano stoi niby skruszony, jego widok uspokaja gniew archanielski. Widać, że archanioł wyraźnie czuje do brudnawego typu sporą dozę słabości, a może i nawet sympatii.

– Tylko popatrz na siebie! Jak ty wyglądasz?! Gdzie masz skrzydła?

Mężczyzna w kapeluszu, nie tracąc rezonu, zagląda za drzewo i stamtąd wyciąga mocno przyprószone ziemią, niewątpliwie mniejsze i mniej okazałe niż te, które nosi na plecach jegomość archanioł, ale jednak skrzydła.

– O, tu leżały. Za drzewem schowane.

– Za drzewem! Za drzewem!

– No a co miałem zrobić? Przecież tam, w Czyścucu, nikt by nie chciał gadać z chłopem ze skrzydłami! To jasne chyba, nie przepadają tam za nami...

– Skaranie boskie z tobą. Umyłbyś się! Ubrał! Chodzisz brudny, włosy to już ci się skleją, takie tłuste! Buty byś wyczyścił, ogolił się, nawet nie wiesz, jak się anioł dobrze czuje, kiedy jest czysty. Na ziemi mówią: „chłop jak anioł”, a z ciebie to jest taki... anioł jak chłop. Ale jednak anioł, rozumiesz?! I zapamiętaj raz na zawsze. Kto ty jesteś? No kto?

– Anioł, anioł...

– Bóg mi świadkiem, w kogoś ty się wdał! Giordano!

Giordano bierze skrzydła schowane pod drzewem i zakłada na plecy. Ruszają wzdłuż kwitnących drzew. Anioł w stopniu mistrzowskim i anioł w stopniu grzeszno-początkującym w gruncie rzeczy dogadują się zawsze i szybko. Zresztą każdy w Niebiesiech wie doskonale, co się stało z tymi zwolennikami korporacji, którzy nie chcieli się dogadywać – Pan posłał ich w diabły, w dół, do piekieł.

– A mądrzy powiadają, proszę jegomości archanioła, że „dusom ześ cteku, dusom, a nie ciałem!”.



– E, jacy mądrzy? Kto ci takie głupoty gada? Chodzisz do tego Czyścica, nasłuchasz się, a potem pleciesz bzdury. W zdrowym ciele zdrowy duch! O ciało też się trzeba postarać. Dusza i tak nieśmiertelna. A ten tam, taki połamany, tam na dole, to kto? Co go tak trzęsie?

– A, ten... No, tańczył tego, tam, on... To Elvis. Król rock'n'rolla.

– Eh, król? Jaki on tam król? Wszyscy trzej królowie są u nas! A jak tak tańczy, to on tam chyba jeszcze długo posiedzi!

No dobra, nie moja sprawa. Aniele Giordano, przychodzę tu do ciebie, aby ci przekazać wolę Najwyższych Zastępów. Sprawa jest wielkiej wagi. Kazano mi cię odszukać, bo... jak by to powiedzieć... Widzisz, ludzie tam w dole, na ziemi, są coraz gorsi. Odsuwają się od nas, odsuwają się od siebie, są smutni i samotni. Brakuje im wiary, brakuje nadziei i miłości. Tak, Giordano, trudno w to uwierzyć, ale człowiek coraz mniej wierzy w dobro. Dysponujemy najnowszymi badaniami. Nie uwierzysz! Teraz, żeby kogoś odwiedzić, najpierw trzeba zadzwonić. A pod wycieraczką absolutnie nie wolno zostawiać klucza! Nie produkuje się już oranżady w proszku! Katastrofa. Świat znajduje się na krawędzi moralnego upadku!

– To smutne! Bardzo smutne, ale co ja miałbym...

– Właśnie ty mógłbyś! Trzeba się udać na ziemię!

– Ale kto?

– Ano ty! Trzeba się udać na ziemię i szerzyć dobrą nowinę! Misję masz taką specjalną, sam Boss ci ją przygotował.

– Ja? A dlaczego ja? Przecież sam archanioł mówi, że ciemna masa ze mnie! I że Szef nie wpisuje mnie na listę tych, co mieli dostać premię, bo sarka na te moje rozmowy w Czyścicu z Elvise i z tym Polakiem, no, Wodeckim, oraz... – tu głos mu się załamuje – ...z Marilyn Monroe.

Archanioł Rafael, słysząc to, lekko się peszy. Zaciera nerwowo ręce, drapie się po głowie i wygładza swą nienagannie gładką szatę.

– Właśnie dlatego, Giordano! Zrozum: jako najbardziej marnotrawny anioł jesteś najbardziej podobny do ludzi! Znasz ich dobrze. Ciągłe uciekasz i przesiadujesz w Czyścicu. To co prawda jeszcze daleko do ziemi, ale zawsze coś! A Szef, powiem ci, chciał dać ci premię! No ale co ty byś z nią zrobił? Pewnie kupił jakąś trawkę Elvisowi, prawda? Inna rzecz, że z tą Marilyn to jednak nie powinieneś się spotykać. Niby to dobry człowiek, ale wiesz, jak koledzy patrzą na nasze spotkania z kobietami, takimi kobietami.

– Rozumiem, no rozumiem... Ale czy ja dam radę? Może, ja wiem, sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy byłem młodszy, chudszy, to jeszcze... Ale teraz...

– Ufaj Panu! Zresztą to już zdecydowane. Musimy zacząć dawać dobry przykład. Co, nie cieszysz się? – Przecina zdecydowanym ruchem ręki nadchodzące wątpliwości Giordana. – Koniec! Od jutra zaczyna się szkolenie.

Anioł, tłustawy, z włosami przetłuszczonymi i szatą niepraną od tygodnia, ciężko siada na przydrożnym kamieniu.

– Na Przenajświętsze Skinienie... No i komu tu się teraz poskarżyć? Kogo o pomoc poprosić?

## 20.

Na wielkim planie wielkiej superprodukcji filmowej ludzi jest tyle, że – jak się niektórzy śmieją – krzesło z napisem „Reżyser” jest po to, by wiadomo było, jak wygląda ten, co potem nadstawia głowę. Nic więc dziwnego, że gdy reżyser Roberto Rodriguez po zrobieniu za kilka tysięcy dolarów swego debiutanckiego, słynnego *El Mariachi* znalazł się po raz pierwszy na planie w pełni już profesjonalnego filmu *Desperado*

z boskim Banderasem, najpierw się zdziwił, że kamera jest taka duża, a potem, widząc kłębiący się wokół tłum, zapytał z przerażeniem: „A co robią tutaj ci wszyscy ludzie?”

Choć Jacek i Placek zrobili już kilka programów telewizyjnych, jednak owa „Historia filozofii” według Tischnera była ich pierwszą produkcją filmową. Ich plan na pewno przypominał raczej amatorskie plany Rodrigueza. Było kameralnie – to znaczy kamera była mała. Wokół kręciło się kilkanaście osób i wszyscy znali się doskonale. Ktoś pomagał dla czystej przyjemności, ktoś grał z przyjaźni, zamiast cateringu z Sheratona były kanapki przygotowane przez żony producentów, a funkcję garderoby dla aktorskich gwiazd pełnił stolik z trzema krzeselkami.

Jeśli na tym planie coś naprawdę wprowadzało nerwową atmosferę, to pogoda. Zwłaszcza że operator wymyślił sobie, że światło słoneczne winno padać na polankę przez gałęzie drzew. Może się uda, ale zaświeci pewnie na pół godziny, a potem może lunąć deszcz i – tfu, odpukać – trzeba będzie odwołać zdjęcia. Ussik, zachrypnięty kierownik produkcji, biegał więc od drzewa do drzewa, zganiając aktorów, bo jego pomocnik stojący dwa kilometry dalej z walkie-talkie przekazał właśnie, że widzi kapinkę nadchodzącego słońca.

## 21.

– Miau, la-la, miau, la-la. – Adam B. jest przebrany w piżamę i siedzi na ławce z głową zawiniętą w wielki bandaż. Do tego dziwnie, mało zrozumiale, choć melodyjnie śpiewa.

Naprzeciwko Adama, którego teraz bardzo trudno byłoby poznać, siedzi szpakowaty, może pięćdziesięcioletni mężczyzna

z kilkunastu zarostem, twarzą zniszczoną i rękoma równie zniszczonymi, sugerującymi, że praca fizyczna nie jest mu rzeczą obcą.

– Hej, chopie! Chopie! Jo nazywom się Józek. A ty Adam jesteś, zdaje się, co?

Szpakowaty, może poprzez siwy włos, sprawia wrażenie starszego, niż jest. Przeciąga też głoski tak, jakby był człowiekiem z gór, ze wsi albo z jakiejś innej polskiej prowincji, w której polszczyzna owszem, jest językiem urzędowym, ale nawet w urzędach można jej nie zrozumieć. Mężczyzna jednak emanuje ciepłem i pozytywną aurą. Od razu budzi sympatię. Może dlatego Adam śpiewa dziwaczne, pozbawione słów piosenki?

Obaj mężczyźni siedzą w półmroku małej zimnej sali, nazywanej – nie wiedzieć czemu – pokojem spotkań. Owszem, to tu spotykają się pacjenci ze swoimi rodzinami, a rodziny z lekarzami. Pokój ów ściany ma wyłożone flizami (w Krakowie mówi się: flizy) pamiętającymi lot Gagarina w kosmos, a za wielką brudną szybą oddzielającą to pomieszczenie od korytarza martwo snują się pielęgniarki, lekarze płyną jak nocne mary, chorzy kuśtykają karykaturalnie, a salowe podskakują jakby trącone prądem. Jest zimno, ciemno i ponuro, a że wszystko dzieje się w budynku jeszcze bardziej ciemno-ponurym niż ta sala zanurzona w nocnym świetle, w budynku powstałym pewnie w połowie XX wieku, w mrocznych czasach komunizmu, więc duch tamtych czasów jest obecny tu nadal.

– Hej, chopie – ponawia zaczepkę szpakowaty mężczyzna. – A jakieś tam sedł, toś widzioł cosi? Jakiś tunel cy co? Jest tam co? Po śmierci? Mówił ci co kto?

Zabandażowana głowa Adama porusza się rytmicznie w lewo i w prawo, zaprzeczając pytaniom. Jednak szpakowaty nie ustępuje – ale mówi tak, że i zdrowy mógłby go chwilami nie zrozumieć:

– E, nic ni mo? Naprawde? To pewnie tymuś tylko sie zawróciły, niy? No bo kieby co tam było, to moze byś i umarł, a tak to co bedzies umiyrół, niy?

Echo odbija jego słowa, a Józek sam parska śmiechem, słysząc swój dowcip odbijający się od sufitu w tym pustym pomieszczeniu. Ale nadal nie odpuszcza pacjentowi z głową owiniętą bandażem. Są sami w pokoju, jest środek nocy, nawet ruch na korytarzu jest dużo mniejszy i wydaje się, że z każdą minutą w pokoju robi się coraz zimniej i zimniej. To dziwne, bo przecież, choć wczesna wiosna, to w mieście już w nocy jest ciepawo i okna mogłyby być otwarte. Ale robi się coraz chłodniej. Coraz mroźniej. Zauważa to nawet Józek.

– Cosik jakby u nas w górach. Nawet para mi z pyska leci, widzisz? – śmieje się zaraźliwie, a Adam tylko lekko się uśmiecha. – Trza cuś szybciej działać, szybciej.

Szpakowaty wstaje z ławki, dosiada się do Adama, wyciąga z kieszeni piżamy złożoną kartkę papieru i wręcza mu ją.

– To dla tobie. Cobyś wiedziół, ka jechać.

Adam jest trochę zaskoczony, odbiera kartkę, nie wiedząc do końca, o co chodzi.

– Jakby co, to pierdolnij syćkim i jedź ku mnie... Tyle się znamy, a nigdyś nie był... Tu, jak się położysz, to bedzies już lezoł, a tam pieronem do zdrowia dojdzies. Więc uciekaj z tego spitala i cym prędzej przyjeżdżaj do mnie. A to mapka, co ci pomoże, jak dojechać. Tam syćko inkse cłekowi sie zdaje...

Adam wreszcie łapie, o co chodzi. Bierze kartkę, rozkłada ją, przygląda się uważnie trasie narysowanej grubą kredką – jakby ręką dziecka. Na jej początku jest samochód, a na końcu mała chałupa z dymem lecącym z komina, ze słoneczkiem uśmiechniętym, chmurkami barankami i napisem „U Juzka”.



Adam się uśmiecha, patrzy na Józka ze zrozumieniem i z ulgą przymyka oczy.

## 22.

*Movie maker? Film producer? Executive, creative and line producer?* Ślicznie, wszystko brzmi ślicznie, ale nad Wisłą producent to niekoniecznie człek, który jeździ kabrioletem – raczej taki, którego wyrzucają oknem, po czym otwierają lodówkę, a on już tam siedzi. To człowiek, któremu gmaszyska wszystkich telewizji, państwowych, prywatnych i niejasnych, są domem, a ekspres do Warszawy – głównym środkiem lokomocji. I seriale grozy typu *Strefa mroku* opowiadające o producentach, których zmumifikowane zwłoki znajdowano gdzieś w ponurych, wielkich gmaszyskach, nie muszą być wcale przesadzone.

W przypadku serialu „Historia filozofii” (itede, itepe) było i podobnie, i inaczej. W każdym razie może wtedy, gdy została przekroczona średnia wyczekiwana liczba producenckich kilometrogodzin na korytarzach telewizji, w pewnej chwili coś się zmieniło. Może zadziałała „bosko moc Wielebnego”, który ciepłym słowem łamał nie takie przeszkody, a może po prostu polityka? Dość że wreszcie stosowne cyrografy zostały podpisane, a dzięki filmowym nawykom Ważnego Dyrektora przyszedł dodatkowy bonus – taśma filmowa. Tak, to był już prawdziwy film!

Żeby nie było zbyt bajkowo: po drodze zdarzyła się początkującym producentom wielka katastrofa. A pomysł Jacka i Placka był znakomity – chcieli zrobić program o seksie. Miała to być ich pierwsza poważna produkcja, więc przygotowali się

do niej bezbłędnie: były maślaki, maleńkie korniszony, boczek tłusty, acz wędzony, no i woda życia gęsta, zmrożona tak, że szkliwo na zębach nie trzymało. Nie dziwota, że szybko nadeszła dumna pani Wena i stanęła za nimi dyskretnie, podsuwając scenariusz wręcz doskonały.

Oto Nowicki senior i Nowicki junior! Jan i Łukasz, aktorzy obaj! I o seksie będzie bezpruderyjna rozmowa ojca z synem! Z Korą Jackowską i Renatą Dancewicz (po *Pułkowniku Kwiatkowskim*, w którym na widok jej nagiego biustu płakał z zachwytem i rozanielenia sam Marek Kondrat)! Mistrzowie z boginiami! Program telewizyjny, który będzie hitem, a producenci zarobią na tym miliony. Do tego wnętrza stylowego krakowskiego Teatru Bückleina (podówczas przy dworcu). Do tego zmysłowo śpiewająca Katarzyna Jamróz. Do tego felieton pisarza Pilcha o seksie oralnym. Ba, nawet seksowna artystka kabaletowa, miss czegoś tam czegoś oraz striptizerka. Słowem: jako prawdziwi twórcy krakowscy najpierw policzyli, ile na tej produkcji zarobią, a potem z radości się upili, bo rokowania były takie, że ho, ho albo jeszcze lepiej.

A jednak, choć sukces był im pisany w gwiazdach i w Excelu, ten program nie wyszedł, bo zrobili produkcję bardzo, bardzo tanio – nawet w kategoriach krakowskich. Skończyło się tak, że nagrali dźwięk, ale właściwie nie nagrali obrazu. Sęk w tym, że po wizycie Weny się pochorowali, a Janek Nowicki zażyczył sobie swojego reżysera, a ten wymyślił swojego operatora, który wymyślił, że ma być nastrój z soft pornoli telewizji rodzinnej, a zatem dużo dymu. Nie pomyślał tylko, że jeśli dymarką dodaje się dymu do sześcianu, to nastrój może jest, ale tylko na miejscu (wszyscy się dusili, fakt).

W III RP już panował burdel nieziemski, więc J&P Media wyprodukowały ów program nie tylko z obrazem właściwie

nieczytelnym, lecz także bez umowy (bo w TVP coś się znowu opóźniało – ale ten kosztorys wykonawczy zaćmiewał im wzrok!). Dość że materiał końcowy przypominał bardziej audycję radiową, może i ciekawą szalenie (rozmowy *prima sort!*), ale kompletnie niewidzialną.

To była taka piękna katastrofa, że długo jeszcze J&P spłacali dłużników zyskami z Tischnera.

### 23. Mr/Ms LOU CY

Sala wykładowa jest napchana słuchaczami od dołu do góry, od lewej do prawej i z powrotem. Szpilki nie ma gdzie wsadzić. Nic dziwnego – wykład gościnny głosi dzisiaj światowej sławy profesor neurologii S. Tan (imienia jego nikt nie wypowiada), członek redakcji pism najpoważniejszych, *visiting professor* gdzie się tylko da i laureat pół kopy nagród. Dziś ma opowiadać o najgłośniejszych przypadkach udarów, gdy chory mniej więcej potrafił zdać sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Tu *case* ogólnoswiatowy to pani Jill Bolte Taylor, neuroanatomka i pani naukowiec od mózgu co się zowie, która miała wylew wyłączający jej lewą półkulę. I wtedy, miast zemdleć, przez wiele godzin doświadczała i świadomie – na ile się dało – starała się zapamiętywać, co się z nią dzieje.

Profesor S. Tan stoi teraz przed tablicami, wykresami i tabelami w swojej czarnej tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach, czyli takim mundurku wszystkich postępowych elit akademickich Wild Wild Westu, w eleganckim kaszmirowym czarnym golfie, czarnych obcisłych dżinsach – i w ogóle czerni bije od niego jak od piekielnych odrzwi. I opowiada z pasją,

jak to amerykańska uczona przez całe cztery godziny zwlekała z wezwaniem pomocy, bo oczami zaintrygowanej neuroanatomki obserwowała stopniowe pogarszanie się zdolności swego mózgu.

Profesor wykrzykuje z emfazą:

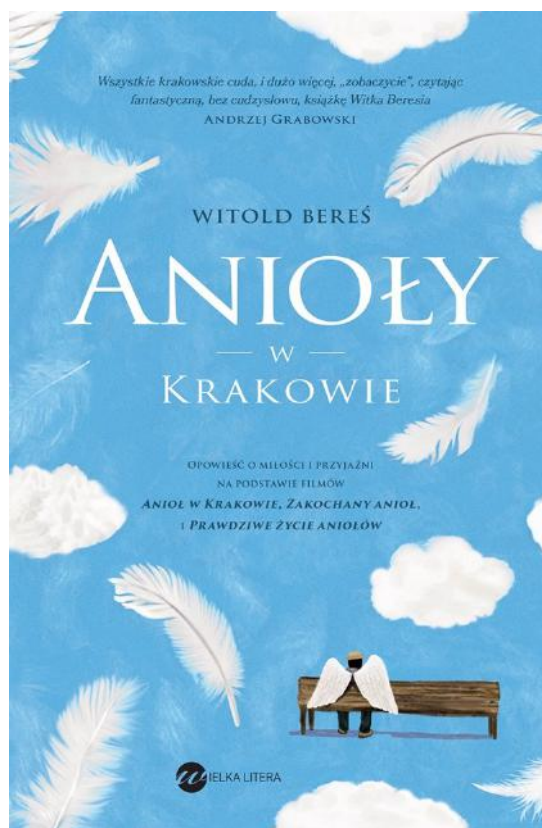
– Nim sobie zdała sprawę z tego, co się dzieje, popatrzyła na swoje ciało i nie mogła go rozpoznać, nie mogła zdefiniować tego, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy, ponieważ atomy i molekuly jej ramienia stopiły się z molekułami i atomami ściany, a strukturę własnego ciała odbierała jako płynną, a nie stałą. Poczowała się wtedy wolna jak dżin wypuszczony z butelki, jak wieloryb pływający w cichym oceanie euforii, a jej świadomość osiągnęła stan wszechwiedzy, stając się jednością ze wszechświatem. Było tak, jakby ktoś wziął pilota i wcisnął guzik *mute* w jej mózgu. Ale najciekawsze, najciekawsze, proszę państwa, to fakt, że to było... MIŁE!

Bardzo szybko urzekła ją wspaniałość tej sytuacji: ponieważ nie mogła zidentyfikować granic swego ciała, poczuła się ogromna i ekspansywna, poczuła się jednym z całą energią. I wtedy cały stres związany z jej pracą zniknął, poczuła się... lżej w swoim ciele! Później tak euforycznie o tym pisała: „Wyobraźcie sobie, jak by to było stracić trzydzieści siedem lat bagażu emocjonalnego – doznałam euforii i ta euforia była piękna!”<sup>10</sup>.

Słowem: osiągnęła nirwanę!



Przeczytaj więcej o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)  
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)

